

Adam Rodziński

Z rozważań nad moralnymi aspektami mowy

Studia Philosophiae Christianae 25/1, 111-115

1989

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ADAM RODZIŃSKI

Z ROZWAŻAŃ NAD MORALNYMI ASPEKTAMI MOWY

W cenną i skondensowaną treścią nasyconym artykule pt. *Prawda — kłamstwo — nieprawda* zamieszczonym na łamach *Chrześcijanina w Świecie* ks. Tadeusz Ślipko nawiązuje do analogii „pomiędzy obroną sekretu a obroną życia” i — pomimo swoich wcześniejszych, jakże instruktywnych i konstruktywnych wywodów na ten właśnie temat — pisze: „Zarysowana trudność stanowi doniosły problem filozoficzno-etyczny, któremu trzeba by poświęcić osobny artykuł”. Skoro tak, stara się Autor ukazać na razie dalszy — pożądany jego zdaniem — kierunek rozważań w tej materii, sygnalizując przy tym ich najdogodniejsze punkty wyjścia i przewidując z grubsza najważniejsze wnioski¹. Przypominam, że chodzi o słuszną, dopuszczalną, czy wręcz konieczną moralnie obronę sekretu przed ewidentną agresją ze strony ludzi nie przebiegających w środkach zdobycia, czy raczej „wydobycia” użytecznych dla kogoś „nieprzekazywalnych moralnie” informacji. Chodzi tu w dodatku o takie tylko międzyosobowe sytuacje, w których żadne przemilczenia, ogólniki czy dwuznaczniki na nic się nie zdadzą, boć i one potrafią „mówić”, mają swoją „wymowę”, niekiedy najzupełniej jednoznaczną. Zdarza się to najczęściej w okolicznościach skrajnie dramatycznych, poruszona kwestia posiada więc swój poważny „ciężar gatunkowy”; skoro zaś w dalszym ciągu otwarta jest i kontrowersyjna, zachęca każdego myślącego etycznie człowieka do przemyśleń i propozycji własnych lub choćby tylko do poczynienia luźnych uwag na jej marginesie. Może więc także i mnie o takie jakieś przysłowiowe „trzy grosze” warto się pokusić — w nadziei, że nawet jeśli kruszec nie okaże się w nich „pierwszej próby”, obieg ich uznany będzie za legalny, co więcej, miesz-

¹ *Chrześcijanin w Świecie* 1985 nr 11 s. 67. Por tegoż: *Kłamstwo a słuszną obronę sekretu*, *Roczniki Filozoficzne* 6(1958)3 z. 2; *Aktualny stan poglądów etyków i moralistów katolickich na zagadnienie godziwej obrony sekretu*, *Studia Philosophiae Christianae* 3(1967)2.

czący się z grubsza i na ogół w ramach przekonująco uzasadnianej przez Autora i twórczo wymodelowanej teorii „mowy defensywnej”.

We wzmiankowanym wyżej artykule (s. 26) T. Ślipko pisze tak: „Warto wszakże zaznaczyć, że termin „mowa” oznacza tu nie tylko „słowo” czy „zdanie”, ale wszelką formę zewnętrznej ekspresji myśli (...)”. Uwaga ta zapobiega z pewnością nieporozumieniom i słusznie sugeruje, że informacji w jakiś określony sposób zwerbalizowanej nie należy rozpatrywać w oderwaniu od moralnych aspektów jakiegokolwiek „mowy”, usytuować więc trzeba całe zagadnienie na szerokim tle problematyki takich środków przekazu, jak pismo obrazkowe, gestykulacja pantomimiczna czy jakieś rodzaje zachowań dających się „odczytać”, niosących określoną informację. Każdy przecież znak może się okazać stosowny i pożądany, jeżeli niesie pożądaną treść i może ją przekazać w sposób dostatecznie selektywny. Ewentualna debata co do tego, które z tych sposobów informowania są dla nas „naturalne”, a które mniej lub więcej „sztuczne”, przypominałaby zresztą debatę nad poruszaniem się człowieka: na ile np. chodzenie na czworakach odbiega od bardziej zapewne ludzkiego sposobu posługiwania się w tym celu wyłącznie nogami.

W moralnym atoli aspekcie sprawa nie jest prosta: znak znakowi istotnie nie jest równy, ani „słowo” słowu. „Słowa armatnie” z wiersza Władysława Broniewskiego o czymś mówią nieprzyjacielowi, to jest niewątpliwe. Wypowiadane w obronie ojczyzny mówią w pierwszym rzędzie o chęci jej obrony, natomiast odzywając się przed walną bitwą powiedzieć mu mogą wiele na temat kierunku, w jakim rozwinie się natarcie, choć „adresat” nie ma obiektywnych danych uzasadniających uznanie tego kierunku za więcej niż prawdopodobny wyłącznie z przyczyny takiej kanonady. Nie można przecież zakładać, że jest kompletnym w sprawach militarnych ignorantem. Działania pozorowane z reguły stosowane są podczas większej bitwy i skutecznie nieraz odwracają uwagę przeciwnika od miejsca, w którym nastąpić ma jej rozstrzygnięcie. Wszystko to jest pozorem rozmowy między człowiekiem a człowiekiem — w gruncie rzeczy jest to tylko gra.

Gdyby jakiś dowódca broniący — dajmy na to — swojego kraju przed agresją ani sam nie stosował tego rodzaju „zabiegów”, ani nie przewidywał ich ze strony przeciwnika, słusznie by mógł zostać obwiniony (w najlepszym razie) o gruntowny brak kwalifikacji zawodowych, a co za tym idzie, o wy-

stawianie na szwank zdrowia i życia powierzonych mu żołnierzy. Całkiem natomiast inna — również w moralnym sensie, o jaki nam tu chodzi — wytwarza się sytuacja, gdy na polu walki dojdzie do „umowy”, choćby incydentalnie zaaranżowanej, zasygnalizowanej np. wywieszeniem flagi kapitulacyjnej albo informującej przeciwnika o zamiarze czy propozycji wysłania parlamentariuszy. Pojawiają się wówczas racje, które w „cywilizowanym świecie” uchodzą za wystarczające do tego — w aspekcie psychologicznym i etycznym — aby znak taki oraz kryjący się pod nim sens potraktować serio. Ewentualne jego nadużycie, faktyczne lub domniemane, wywołuje też ze zrozumiałych względów gniew i oburzenie tych, którzy tym znakom „dobrych intencji” zaufali; w takich wypadkach łamią się niekiedy bariery wszelkich obyczajów i z „człowieka” wynurza się „zwierz”. Uważny czytelnik dobrze udokumentowanej książki Czesława Kłaka pt. *Polski Leonidas* (Warszawa 1986) nabrać może zgodnego zapewne z rzeczywistością przekonania co do tego, jak naprawdę zginął gen. Józef Sowiński, bohaterski obrońca podwarszawskiej Woli. Otóż gdy na przykościelnym „cmentarzu” za jego zgodą mała już garstka niedobitków oświadczyła Moskalom, że oddaje broń, ukazała się nagle spoza fary inna grupa obrońców re-duty i nie wiedząc co się wydarzyło, otworzyła ogień dość znieenacka. Poczytane to zostało za podstęp i naruszenie prawa wojennego, skutek zaś wiadomy: wróg uczynił wszystko, aby oszczędzić żonie widoku zwłok męża.

Czego to nas uczy? Otóż tego, że nawet w takim jak ten wypadku obowiązuje — i funkcjonuje *de iure*, jeśli nie *de facto* — jakieś elementarne porozumienie moralne między człowiekiem a człowiekiem, na gruncie którego wojujące strony mogą próbować dojść do porozumienia, w tym również aspekcie, w jakim ma ono już sens ściśle informatyczny. Z chwilą więc, gdy takie domyślne choćby i wstępne „porozumienie co do porozumiewania się” na jakiś temat okazuje się aktualne, ktoś z kimś odtąd będzie się porozumiewał, podczas gdy we wzmiarkowanym poprzednio zakresie działań ludzkich nikt z nikim się nie porozumiewa, mimo że ma tam miejsce jakieś wysyłanie i odbieranie informacji. Krzywdą czy nie-łojalnością mającą sens moralnie antywartościowy zaistnieć może między osobą ludzką a osobą (niekoniecznie ludzką), ale nie między osobą a samym znakiem czy znakiem a osobą. Taką nielojalnością, wynaturzeniem porozumiewania się osoby z osobą jest kłamstwo. Gdy w tym kierunku uściślimy jego

definicję, okazać się ono musi niegodziwe zawsze i bezwarunkowo, zgodnie zresztą z samego tego wyrazu pejoratywnym wydzźwiękiem semantycznym.

W ściśle moralnym sensie taki tylko czyn ludzki określić wolno jako „niegodziwy”, jaki nie jest do pogodzenia ze ściśle osobową, równą u wszystkich osób ludzkich, nieutralną, więc i niezbywalną godnością człowieka. Godność ta to wartość priorytetowa jako naczelną „norma” całej moralności naturalnej.

W taką konstatacją zainspirowanej etyce personalistycznej nie ma po prostu miejsca na żadne kłamstwo, które by mogło być w ostatecznym rozrachunku „użyteczne”, każde bowiem *ex definitione* okazać się musi szkodliwe jako radykalnie uwłaszczające tej wartości, która tu jest najbardziej podstawowo, bo przed wszelkimi innymi wartościami kompetentna i miarodajna. Dotyczy to zresztą każdej „sprawy sumienia”. I tak np. z uwagi na tę wartość właśnie, ewentualna zgoda jakiejś kobiety, której dziećmi zawładnęli terroryści, na współżycie seksualne z kimś, kto ją ich uśmierceniem szantażuje, jest etycznie nie do przyjęcia w żadnym razie i pod żadnymi warunkami, choćby „natura” matki podszeptowała jej co innego, a „natura” tego pokroju zalotnika odpowiadała jej z wielu innych względów.

Autor wzmiankowanego na wstępie artykułu słusznie za A. Vermeersch'em wskazuje na analogię zachodzącą pomiędzy konieczną moralnie obroną sekretu a obroną życia; pozostaje tylko ukazać w języku bardziej niż scholastyczny przemawiającym do współczesnych ludzi, że ów jedynie godziwy środek obrony, po jaki wolno tu sięgnąć w razie konieczności, a nazywany dość trafnie „mową defensywną”, nie może mieścić się pojęciowo w zakresie tego, co trzeba nazwać kłamstwem i uznać za bezwarunkowo zabronione. W etyce chrześcijańskiej nie ma miejsca na pojęcie kłamstwa dopuszczalnego choćby wyjątkowo i w okolicznościach zgoła nadzwyczajnych, podobnie jak nie ma w niej miejsca na moralnie dopuszczalne zabójstwo czy morderstwo.

„Zabicie człowieka” i „dopuszczenie się zbrodni zabójstwa” są to określenia różne co do sensu, jak dobrze nam wiadomo. W miasteczku pewnym dawno temu, na wyjątkowo stromym zjeździe ku rynkowi hamulce wypełnionego ludźmi autobusu uległy nagle awarii. Kierowca starał się je włączyć, ale w tym czasie pojazd nabrał tylko pędu; tak że kolizja z nieruchomością jakąkolwiek na pewno skończyłaby się jego roz-

traskaniem; plac był pełen ludzi, kierowca mógł więc tylko wybierać, kogo tam zabije. W rezultacie kogoś „z całym rozmysłem” zabił. Nikt tego jednak nie nazwał zabójstwem.

Wróćmy do naszej sprawy. Jeśli tzw. mowa formalna zawsze winna służyć do wyrażania własnej myśli mówiącego, to jaką „myśl własną” wyrażają najprzeróżniejsze zmyślenia jedynie skuteczne w obronie jakiegoś ważnego sekretu przed agresją, choćby tylko „słowną”? Chyba tylko podobną do tej, jaką wypowiadają ruchy wojsk i „słowa armatnie”, które — choć często dezorientujące — niosą jednak coś nurtującego świadomości „nadawcy”. Myśl mniej więcej taką: w tej chwili się ze sobą nie porozumiewamy — mimo że przekazujemy sobie pewne określone informacje; agresja bowiem na moją nieprzekazywalną tajemnicę wyprowadza nas obu całkowicie z terenu porozumienia elementarnego, na gruncie którego człowiek z człowiekiem może „porozumiewać się” naprawdę².

AUS DEN ÜBERLEGUNGEN ÜBER DIE ETHISCHE ASPEKTE DER SPRACHE

Zusammenfassung

Der Aufsatz, der den „Bemerkungen am Rande” Charakter hat, bietet und unterzeichnet die Grundübereinstimmung der Auffassungen vom Verfasser über das Thema des Rechtes zur Verbalverteidigung des Geheimnisses dar mit den Meinungen, die T. Ślipko in dem Aufsatz unter dem Titel: *Prawda — kłamstwo — nieprawda*, „Chrześcijanin w świecie” 1985 nr 11 (*Wahrheit — Lüge — Unwahrheit*, „Der Christ in der Welt”) darstellt.

Jede Lüge ist, Verfassers Meinung nach, nichtswürdig und als eine moralische Deviation der Verständigung mit jemandem unzulässig. Falle wenn die einzige Weise des erfolgreichen Bewahrens des moralisch nichtübermittelnden Wissens dem Aggressor die Angabe der nicht wahrheitsmässig Information ist, gibt es im Grunde genommen und tatsächlich keine Verständigung. Es kommt dort also keine Deviation dieser Art überhaupt vor.

² Byłaby to stosowna odpowiedź na „myśli” agresywnego interlokutora, który wcześniej, równie obiektywnie i faktycznie, bo całą swą postawą, mówi mniej więcej tak: uprawnienie twoje do zachowania sekretu nic mnie nie obchodzi, traktuję cię jak rzecz zawierającą informację, na jakiej mi zależy z powodów, które mogą cię nie interesować albo i nie powinny.